Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

№ 9 (340) WARSZAWA, 1 lipca 1925 R. ROK XVIII



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO ZWIĄZKU P.K.O. 8082 ADRES: NOWY-ŚWIAT Nr. 35. TELEFON 7-98

Wychodzi 2 razy miesięcznie: 1-go i 15-go.

Nr. 9 (340) Warszawa, dn. 1 lipca 1925 r. Rok XVIII.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH
Wychodzi dwa razy miesięcznie 1-go i 15-go.

PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł, kwartalna — 6 zł Numer pojedynczy — 1 zł. 20 gr.
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona — 80 zł., pół — 50, ćwierć — 30, 1/8 — 16, 1/16 — 10. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej

OD REDAKCJI.

Prosimy uprzejmie o przyśpieszenie dopłaty za drugie półrocze.

Zalegającym wogóle posyłać będziemy jeszcze tylko numery lipcowe, poczem przerwiemy dalszą wysyłkę.

Zwracamy uwagę, że od numeru bieżącego cena egzemplarza w sprzedaży pojedynczej wynosić będzie **1** zł. **20** gr.

Woły piżmowe



W Grenlandji.

JAN SZTOLCMAN.

Międzynarodowy Kongres Ochrony Ptaków w Luksemburgu.

W jednym z poprzednich numerów przytoczyłem statystykę słonek, zabitych podczas ciągów wiosennych, dowodzącą, że samice stanowią w ogólnej liczbie zaledwie 6,5%. Uczyniłem to w celu ochronienia uroczych polowań na ciągu, zagrożonych ostatnimi czasy, zwłaszcza na zachodzie, kompletnem zamknięciem w widokach ochrony gatunku od rzekomej zagłady. Niewątpliwie, myśl tego wyszła z łona ludzi jaknajlepszych chęci, którym zdawało się z niejaką słusznością, że ptaki w porze amorów winny podlegać ochronie, więc słusznem by było, aby zamknąć polowania wiosenne na słonki. Myśl tę przeprowadzono już dawniej we Francji, gdzie w niektórych departamentach wzbronione jest polowanie na ciągu, gdy w innych, sąsiadujących, polowanie to można swobodnie praktykować. Znam pewnego właściciela ziemskiego, przez którego park, okalający dom, przechodzi linja graniczna pomiędzy departamentami Indre i Indre et Loire, a ponieważ w parku tym ciągną słonki na wiosnę, więc nasz dziedzic może polować wiosną w jednej połowie swej posiadłości, gdzie prawo na to pozwala, a wstrzymać się musi od tej przyjemności w drugiej, gdyż tam ustawa łowiecka nie uznaje polowań na ciągu.

Tymczasem według obserwacji moich, których inicjatywy nie chcę bynajmniej sobie przyswajać, gdyż Niemcy już uprzednio przyszli do tych samych rezultatów — otóż według tych obserwacji na ciągach ginie minimalny procent samic i gdybyśmy nawet dołożyli starań i strzelali tylko ptaki chrapiące, to z wszelką pewnością wybijalibyśmy tylko samce. A że według obserwacji nietylko moich, lecz i innych badaczy, w przyrodzie, a zwłaszcza w świecie pierzastym, rodzi się znacznie więcej samców, aniżeli samic, więc takie odstrzeliwanie samców, czyli jak Francuzi nazywają — „ecoquetage" (odkogucanie), nie tylko, że nie zagraża egzystencji gatunku, ale — przeciwnie sprzyja jego rozwojowi.

Sprawę skasowania polowań wiosennych na słonki poruszono już przed dwoma laty na Międzynarodowym Kongresie Ochrony Przyrody w Paryżu i zapadła nawet wtedy uchwała, aby wszyscy delegaci poczynili u swych rządów kroki w celu ustawowego zabronienia polowań wiosennych na słonki. Zmuszony okolicznościami do opuszczenia tej sesji, na której ów wniosek był dyskutowany i nie mając podówczas dostatecznego materjału contra tezie szkodliwości polowań wiosennych na słonki, musiałem odłożyć wystąpienie moje do lepszych czasów, po czemu znalazła się sposobność w roku bieżącym na Międzynarodowym Kongresie badań i ochrony ptaków, jaki się odbył w Luksemburgu pomiędzy 13 i 16 kwietnia, a na który zostałem delegowany przez Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego oraz przez Państwową Komisję Ochrony Przyrody, której mam zaszczyt być członkiem.

Kongres został zainicjowany i zorganizowany przez Towarzystwa Ochrony ptaków Francji, Belgji oraz Luksemburga. Na zaproszenie zgłosili się przedstawiciele 17 państw w ogólnej liczbie około setki osób. Następujące kraje miały tu swych reprezentantów: Luksemburg, Belgia, Francja, Anglja, Szwajcarja, Hiszpanja, Włochy, Czecho - Słowacja, Finlandja, Holandja, Węgry, Austria, Nowy - York; Kalifornja, Japonja, Niemcy i Polska.

Kongres podzielono na trzy sekcje: 1) Prawodawstwo, reglamentacja etc. 2) Studja i zagadnienia czysto naukowe i 3) Ochrona w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Następnie jednak, bodaj na wniosek p. Devilers, delegata Belgii, złączono pierwszą i trzecią sekcję. Mój referat został zapisany do 2-ej Sekcji, w której przewodniczył delegat Francji, p. Delacour. Zaznaczyć muszę, że referaty czytano i dyskusję prowadzono w trzech językach (francuskim, angielskim i niemieckim), co ujemnie wpływało na jednolitość debatów, a zwłaszcza na dokładne zrozumienie omawianych tematów.

Mój referat, noszący tytuł: „Płeć słonek na ciągu, jako podstawa prawodawstwa łowieckiego", zajmował w Sekcji 2-ej czwarte z kolei miejsce. Gdy wszelako delegat angielski, dr. Collinge nie zjawił się dnia tego na Sesji, byłem trzecim z kolei referentem. Audytorjum po wysłuchaniu mego raportu oraz niektórych, bardzo zresztą łagodnych obiekcji delegatów francuskich, pp. Delacour'a i Chappellier'a, przyjęło mój wniosek jednogłośnie w następującej formie:

„Kongres po wysłuchaniu referatu delegata Polski, p. Sztolcmana, oraz odnośnych uwag pp. Delacour'a i Chappellier'a, zaleca swym Członkom badania nad płcią słonek ciągnących na wiosnę, jak również poczynienie u swych rządów właściwych kroków w celu ograniczenia polowań na słonki podczas ich przelotu jesiennego, a zwłaszcza na ich zimowiskach".

ALEKSANDER MARGR. WIELOPOLSKI.

Śniadania myśliwskie

(Dok. Zob. Nr. 8.)

Przed wyjazdem na polowanie, starannie wygolony, w najlepszym stylu od rana wyfraczony, marszałek doręczał każdemu z myśliwych dwie bułeczki, przełożone kawałeczkiem zimnego mięsa, w bielutki zawinięte papier. Zajęcy było niewiele, do kozłów proszono nie strzelać, jedynie gospodarz i jego małżonka, która również po kniei strzelbą wymachiwała, sumiennie strzelali do sarn bez różnicy płci, ale i bez powodzenia. Młody myśliwy, może zgłodniały, zagryzał bułeczką, idąc ze stanowiska na stanowisko. Wtem choć przyjaźnie, ale i niezupełnie bez energji został w bok szturchnięty i posłyszał z ust Djany-Pani domu, że nie po to się tu znajduje, żeby jeść, ale na to, żeby polować. Na szczęście nie tak daleko było do stolicy i każdego z gości już około dziesiątej wieczór ciepła we własnym domu lub jadłodajni czekała strawa.

Hora canonica już nadeszła, zwierzyny wciąż serdecznie mało, domowi obiecują flaki, cygarnica już zostaje w kieszeni, gdy niespodzianie jeszcze jedno „króciutkie" pędzenie przed śniadaniem trzeba zająć. Mija jedna połowa godziny i druga i myśliwi, powiększywszy rozkład o całych siedm zajęcy, do utęsknionych zabierają się flaków. Gospodarz słusznie do pośpiechu napędza, bo się ściemni, a ociężali strzelcy pudłują do nielicznej zwierzyny.

Początek polowania został zapowiedziany na pół do dziesiątej. Strzelcy ze strzelbami zostali wysłani naprzód i oczekują swych panów na stanowiskach. Panie towarzyszące myśliwym, czekać na siebie nie kazały. Ręczny zegarek gospodarza wskazuje 9.30 w chwili, gdy mu łowczy melduje, że „wszystko gotowe" i zapytuje czy można ruszyć. Wesoło rozlega się sygnał, skrzydła odpowiadają i

W dwa dni po moim odczycie miałem sposobność poznania na bankiecie, wydanym na cześć kongresistów, p. Muller - Tesch'a, deputowanego do parlamentu luksemburskiego i jednego z najlepszych myśliwych miejscowych. P. Muller - Tesch, przyłączając się do moich wywodów, zapewniał mnie, że w czasie swej karjery myśliwskiej miał sposobność sprawdzenia płci z górą 300-u słonek, zabitych na ciągu. Z małymi wyjątkami były to prawie same samce.

Do najważniejszych uchwał Kongresu należą między innymi następujące:

Na wniosek delegata szwajcarskiego, p. Gans'a uchwalono zwrócić się do Ligi narodów o zwołanie międzynarodowego kongresu wszystkich państw w celu przedsięwzięcia radykalnych środków ochrony ptaków oraz rewizji Międzynarodowej Konwencji z dn. 19 marca 1920 r. Wyjaśnię, że chodzi tu głównie o rewizję listy ptaków, które zostały uznane jako bezwarunkowo szkodne, gdy tymczasem niektóre z nich, jak się okazało, winny podlegać ochronie.

Na wniosek d-ra Petit'a (Szwajcarja) postanowiono dążyć do utworzenia potężnej asocjacji międzynarodowej ochrony ptaków. Stowarzyszenie takie już istnieje (Międzynarodowy Komitet Ochrony Ptaków), lecz dotychczas należy do niego bardzo mała ilość narodów. Wciągnięciem brakujących krajów do Ligi ochrony ptaków, ma się zająć p. Pearson prezes stowarzyszeń im. Audubon'a w Stanach Zjednoczonych.

Wniosek dra Melkus'a (Austrja), aby Kongres wniósł protest do rządu włoskiego w sprawie masowego tępienia ptaków przelotnych oraz ścisłego stosowania ustawy — 1913 r. — przeszedł jednogłośnie.

Stawianie sideł (la tenderie) zostało stanowczo potępione na wniosek pp. L. Hieguet'a (Belgja) i Biesdorf'a (Luksemburg).

P. Chappellier (Francja) zgłosił wniosek, aby we wszystkich prawodawstwach zniesiono wyraz „szkodliwy", dla ssaków i ptaków, podlegających tępieniu i żeby wydawano imienne pozwolenia na tępienie tych zwierząt, które zbytniem rozmnożeniem, mogłyby zagrażać dobytkowi człowieka. Ponieważ wniosek ten był dyskutowany w innej Sekcji, niż moja, a protokóły Kongresu nie są jeszcze dotychczas opublikowane, przeto nie wiem, czy wniosek ten przeszedł.

Ogólne wrażenie z Kongresu było nader dodatnie, a uchwały, jakie na nim zapadły, posunęły niewątpliwie naprzód sprawę ochrony ptaków.

BENEDYKT HR. TYSZKIEWICZ.

Polowanie na słonie między Bora i Shambe.

(Zob. № 7)

Tymczasem do dnia 22-go lutego mieliśmy cztery słonie na rozkładzie. 18-go około czwartej i pół, okrzyk „Fil"*) zgromadził nas wszystkich na pokładzie. Mamy przed sobą znajome miejsce, gdzie przed tygodniem widzieliśmy stado słoni. Dziś przechadza się w trawie trzynaście sztuk — para wydaje nam się bardzo grubych, zapewne samce. Zygmunt Zamoyski ma pierwszeństwo i wyrusza ze swoim czarnym Adziadem, my pozostajemy na pokładzie z lornetkami w rękach.

Okolica, dość równa, miejscami spalona — dalej — w bliskości słoni, trawa zielona, więc teren napewno bagnisty. Na całej przestrzeni widnieją gęsto rozsiane wysokie termity, jak wysepki wśród morza, ratunek dla myśliwego, a zguba dla słoni.

Wkrótce widzimy Zygmunta stojącego na takim wysokim stożku — lornetuje słonie, które nie dalej jak na sto kroków pomału przed nim przesuwają się, jak na indyjskiej paradzie. Z bijącem sercem czekamy rezultatu; żaden strzał wszelako nie pada. Czyżby wszystkie miały być samice!

Po półgodzinnem wypatrywaniu, Zygmunt opuszcza swe dotychczasowe obserwatorjum i ginie nam w trawach. Po chwili widzimy go bardziej na prawo — winduje się na wysoki goły termit i znowu powtarza się przegląd słoni. Wreszcie celuje — słychać strzały.

Widzimy, jak trafiony słoń chwiać się poczyna, i wali się, podniósłszy wprzód kilkakrotnie trąbę i wydawszy okrzyk przedśmiertny, spiżowy, dziwnie przejmujący.

Wieczorem pijemy zdrowie Zygmunta i pierwsza para kłów leży na Gordonie. Roman nazajutrz drugiego słonia ubił w podobnych warunkach, podchodząc go późną godziną w gęstych i wysokich trawach.

21 luty był dniem tryumfu dla Alfreda Potockiego, naszego gospodarza.

Byliśmy wszyscy na nogach, gdy wyszedł

*) Fil — po arabsku — słoń. Przyp. Red.)

obława rusza wolno i równo, uszła dwieście kroków i rozlegają się pierwsze strzały; im dalej, tem padają gęściej, zamieniając się chwilami w istną kanonadę. Wesoło szmyrgają zające, biedne sarny się kręcą, niewiedząc, że im tym razem nic nie grozi, gdzieniegdzie się poderwie bażant, przeciąga stadko kuropatw, lub przemyka lis, radośnie przez naganke witany. Gospodarz z laseczką co lepsze wybierając miejsca i celniejszych strzelców, cieszy się, towarzysząc gościom w pomyślnie zapowiadających się łowach. Ucho jego i łowczego pilnie śledzi za porządkiem, a ława jakby sama z siebie wyrównuje powstałe krzywizny.

Mija dwunasta, koniec ławy już blizki, gęściej się kręcą zające i rozlega się trąbka: śniadanie. Myśliwi idący na skrzydłach mało stosunkowo strzelali, taki ich los, bo są domowi lub po śniadaniu lepsze ich czekają stanowiska.

Straż leśna zapragnęła się popisać, jeszcze gustowniej, niż na ostatniem polowaniu lub w sąsiednim wydziale przybrała świerczyną i suchym dębem altanę śniadaniową. Wśród ożywionego gwaru panie i panowie zasiadają, dobierając sobie sąsiada według upodobania przy stole z heblowanych desek i podają jeden drugiemu wódkę i talerze z wędliną i gorące parówki i serdelki. W ciepłym kożuszku kucharz z pomocnikiem wnoszą dymiący rondel i nakładają warząchwią każdemu smakowite porcje na talerz. Suche ciastka i bakalje stoją na warcie. Piwem i lekkiem winem zakrapiamy śniadanie, by nie być po śniadaniu ociężałym, jeszcze cztery wiorsty ławy nas czeka, a strzelać każdy chce jaknajlepiej. Podają czarną kawę, w tem ktoś z gości zwraca uwagę gospodarza: „Dajże spokój — będzie późno" odpoczynek należny jest konieczny. Strzelcy i furmani jeszcze nie zjedli, gdy naganka będzie rozstawiona, pojedziemy, niema co się śpieszyć", 1.45 pojazdy zachodzą i ława rusza ponownie bez zgiełku i hałasu. Mrok zaczyna zapadać, gdy myśliwi radzi z udanych łowów z pojazdów na ganek dworu wysiadają.

Ale ludzie są różni, różne mają gusta i guściki. Chacun s'amuse comme il peut", a ja dodam: „comme il veut".

wczesnym rankiem ze swoimi ludźmi, podchodząc stado, złożone z jedenastu sztuk, widziane dnia uprzedniego. Słonie stały nie dalej od nas jak na kroków 400. Skupione w dość zwartej gromadzie spożywały ranne śniadanie, spokojnie uszami się ochładzając.

Po cichym, pojedyńczym strzale, ujrzeliśmy wszystkie trąby wzniesione do góry — podobne do wężów, lub periskopów wojennych, po chwili zakotłowało się, i całe stado ruszyło ciężkiego galopa, ginąc nam z oczu w wyższych zaroślach. Niespodziewanie prędko wyłoniła się postać Alfreda i z daleka zrozumieliśmy, że wracał zwycięsko. Jak świecę się gasi — tak jedną kulą w mózg — powalił na miejscu upatrzonego kolosa, z odległości 15—20 kroków. Przyjmujemy go owacyjnie krzykami radości. Poszliśmy niezwłocznie wszyscy zdobycz oglądać. Słoń leżał zgruchotany kulą Hollanda 577, na czterech nogach załamany, a nie zwalony na boku, jak zwykle bywa. Kły miał grube — ale nieco krótkie. Trudno było fotografować — pod słońce — ale zrobiłem parę zdjęć.

Tymczasem ludzie nasi rzucili się do rozbierania słonia, które trwało prawie do 11. Kły, trąbę, uszy i oryginalny ogon wraz z odciętemi nogami wywindowano na pokład barży, gdzie dołączone do reszty trofeów, niemiłosiernie zatruwały nam powietrze, chwilami nie do zniesienia.

Popołudniu przyszła znowu kolej na Zygmunta, który ruszył w kierunku dużego stada widniejącego w oddali. Myśmy tymczasem popłynęli w górę rzeki na koby upatrzone parę dni wcześniej. Wracając po kilku godzinach — widzimy Zygmunta, który czeka na nas nad brzegiem, a za nim, o paręset kroków przechadzają się dwa słonie na miejscu całkiem otwartem.

Nic nie zabił, ale uradowany ze swej wycieczki, pełnej wrażeń dla prawdziwego myśliwego. Stado jego składało się z 22 sztuk, wyłącznie samców młodych, ale posiadających wcale niezłe kły. Nie zwracały żadnej uwagi na jego obecność, tak że mógł prawie swobodnie wśród nich spacerować, oglądając dokładnie pojedyncze sztuki i fotografując je, na stosunkowo bliską metę. Żaden nie wydał mu się godnym strzału, a kły, w jego mniemaniu, nie przechodziły przepisanej wagi. Słonie pasły się spokojnie — o żadnem niebezpieczeństwie mowy nie było — wogóle po tem, co dziś widział, mógłby prawie się podjąć połechtać laseczką mocarza afrykańskiego po jego wyniosłym zadzie. Słuchamy z niezmiernem zainteresowaniem tych ciekawych szczegółów, dochodząc do przekonania, że wszystkie groźne opisy i mądre przestrogi mocno są przesadzone.

Na lewym brzegu rzeki tymczasem pokazało się małe stado słoni. Kolej Jerzego i Romana. Widzimy jak stojąc na wysokim kopcu, długo wypatrują, szukając zapewne samca, którego im inne sztuki zasłaniają. Lornetują długo i widocznie na podchód się nie decydują. Alfred tymczasem podsuwał się niespostrzeżenie, podprowadzany nieco bokiem przez swych arabów, a ujrzawszy blisko przed sobą dobrego słonia, ponownie jedną kulą w łeb go powalił i zdmuchnął im z pod nosa. Dwa piękne słonie — dwoma kulami — jednego dnia — to wielka satysfakcja, to wielki tryumf. Obchodzimy go głośno i wesoło, fetując szczęśliwego pogromcę.

Nazajutrz t. j. 22 lutego miałem i ja wreszcie mieć moje spotkanie.

O czwartej rano — po ciemku — wyszedł Roman samotnie, by próbować podchodu do słoni, podpatrzonych wczoraj przez Zygmunta, my zaś mieliśmy powrócić do miejsca, gdzie nam się tak niefortunnie udało z kobami.

Słońce już było dość wysoko na niebie, gdy oznajmiły nam nasze pikiety, słonie na prawo. Dość liczne stado majaczyło się w oddali. Z boku, na miejscu otwartem pojedyńcza sztuka, piękny samiec przechadzał się leniwie.

Wypadała kolej na mnie i na Adama, ale ponieważ Adam marudził z ubieraniem, nie chciałem tracić drogiego czasu i wyruszyłem sam. W ostatniej chwili zmieniłem niepotrzebnego manlichera na sztucer, którego mi Zygmunt odstąpił. Uzbrojony więc w dwa ciężkie ekspresy, z moimi dwoma czarnymi towarzyszami, Hudarem i Didą, pociągnąłem w drogę, żegnany przez kolegów jadących dalej w górę rzeki.

I zagłębiliśmy się w trawy, posuwając się mozolnie w zwartym gąszczu, starając się nie stracić obranego kierunku.

Pod tym względem krajowcy mają zmysł nadzwyczajny. Każden z nas, mając przed sobą tę ciemną zaporę, sto razy by drogę zmylił.

Po pewnym czasie trawy zaczęły rzednąć, stały się niższe, trafiliśmy na parę wybitych ścieżek, które doprowadziły nas do bagienka, lecz z tem uporaliśmy się dość szybko i szczęśliwie. Za nim widniał teren bardziej odkryty, trawa sięgała ledwo wyżej pasa, zrobiło mi się lżej na sercu, gdyż to posuwanie się po omacku, jest zawsze deprymujące. Dążyliśmy ku opuszczonemu kopcowi termitów, zwykłego punktu obserwacyjnego.

Istotnie, z jego wysokości, ujrzeliśmy kilka sztuk w trawach, po lewej stronie, ale daremnie wypatrywaliśmy samca, który według naszych obliczeń powinien był znajdować się bardziej na prawo. Trzeba było iść dalej i szukać nowego pagórka.

Kierując się ciągle na wschód, by ominąć stado, z którem bynajmniej nie pragnąłem się spotkać, mamy przekonanie, że obrany kierunek musi w końcu doprowadzić nas do celu. Poranek był upalny — silniejszy powiew zjawiał się zwykle koło 10-tej. Tymczasem mieliśmy wietrzyk dość pomyślny, choć słaby. Zdawało mi się chwilami, że trochę kręci i to mnie niepokoiło — ale rady niebyło.

Ludzie moi postępowali nieco prędzej, i nagle stanęliśmy wszyscy z zapartym oddechem. Przed nami na paręset kroków, wyłaniał się z wysokich zarośli słoń wspaniały i sunął dalej gołym stepem, na którym z rzadka widniały kępy traw.

Patrzyłem na to olbrzymie zwierzę z zaciekawieniem i emocją, pierwszy raz bowiem tak okazałego słonia miałem przed sobą. Świeciły jego białe kły, daleko naprzód wysunięte, trąbę trzymał opuszczoną, jakby szukając czegoś przy ziemi. Oddalał się od nas powoli, i wkrótce ponownie zatonął do połowy cielska w większej kępie.

Korzystając z tej pomyślnej okoliczności, rzuciliśmy się za nim pośpiesznie, wybierając bardziej osłonięte miejsca, lub przesuwając się przez otwarte, w pół pochyleni i na zgiętych kolanach.

Teraz, dzieląca nas odległość znacznie się zmniejszyła. Słoń szedł ustawicznie do nas tyłem obrócony, stąpał wolno, leniwie, lekceważąco poruszając trąbą, jak wahadłem. Uszami ogromnymi wachlował się stale, a głową kręcił w prawo i w lewo naprzemian. Parę razy miałem przelotne wrażenie, że ku nam spoziera, że nas widzi, a tylko udaje, że nas nie spostrzega. Wiedziałem jednak, że zwierz ten słynie ze słabego wzroku, a że wietrzyk był dobry, polegając na tym podwójnym awantażu, podkradałem się dalej ostrożnie. Szedłem pierwszy, trzymając w ręku mój ekspres gotowy i rozmyślałem nad możliwością strzału.

Słoń mi uparcie jeno zad pokazywał. Chwile, gdy nieco głowę odwrócił, były za krótkie, by módz z nich skorzystać i wysłać mu pewną, śmiertelną kulę za ucho — przytem dzieląca nas przestrzeń 60-ciu mniej więcej kroków — wydawała mi się za wielką. Hypnotyzowały mnie natomiast jego kły

wspaniałe — raczej ogromnie grube, aniżeli długie, jeden z nich — prawy — mocno wyszczerbiony.

Co za przepiękne trofeum!

(Dok. nastąpi).

KONSTANTY KOMIEROWSKI.

Notatki myśliwskie.

Na Krymie.

(Dokończenie. Zob. № 7).

Po półgodzinnym wypoczynku ruszamy w drugą stronę. Las tutaj jest znacznie gęstszy. Poplątane gałęzie ogromnie utrudniają chodzenie. Nieraz trzeba przesuwać się pod niemi na czworakach. Szczęście teraz gorzej nam sprzyja. Zabijam wszystkiego dwie słonki, z których jedną cztery razy ruszałem i ciągle pudłuję, dopiero za piątym razem zostaje.

Po chwili siedzimy już na linijce i wracamy do domu. A czas już najwyższy, gdyż słońce zachodzi i zaczyna być zimno. Po dniu dzisiejszym nabieram przekonania do słonek. Nie żal zmęczenia, głodu, chłodu, podrapanych rąk i twarzy, gdy się wraca z kilkoma sztukami.

Pogoda się tymczasem ustaliła i na Sapunie znów nowość... Strepety. Musiały ich tam na południu Rosji niezłe mrozy przycisnąć, że się aż tutaj schroniły.

Jednego tylko coprawda spotkałem i to tak daleko, że o strzale nie mogło być mowy. Widziałem też raz dwuch myśliwych, jak nieśli dwa takie ptaki.

Zachęcony ostatniem polowaniem na słonki, wybierałem się na nie znów 23 listopada. Od świtu pochmurno i przymrozek dwustopniowy. Dmie silny wschodni wiatr. Jest to najgorszy z krymskich wiatrów. Na szczęście jesteśmy od niego zasłonięci górami. W odkrytej ze wchodu części Krymu wyrządza on corocznie znaczne szkody, przewracając domy, zrywając dachy i t. d.

Jadę znów do Kuru - Uzień.

Zaledwie wchodzę w las, a tu zaczyna śnieżyć, narazie dość słabo, to też idę dalej. Strzelam do dwuch słonek, z których jedna pada.

Tymczasem śnieg zaczyna walić na dobre. Jego wielkie płaty, kręcone wiatrem, wirują między gałęziami, sypią sie za kołnierz i do rękawów.

Zaczynam więc pośpieszny odwrót i mocno zmarznięty po godzinnej jeździe docieram do domu, mając na pociechę tylko tę jedną słonkę.

Na drugi dzień wspaniała pogoda -- 7 stopni mrozu, niebywałe wprost na Krymie. Góry, lasy, doliny -- wszystko białe.

Jakże tu nie skorzystać z pomocy.

Obchodzę cały bezmała sapun, lecz oprócz śladów zajęczych nic nie spotykam. Dopiero na samym ostatku -- stado kur. Tych się coprawda najmniej spodziewałem, choć ucieszyłem się do nich, jak do starych dobrych znajomych!

Człek sobie mimowoli pomyślał, kiedy to będzie można wrócić do kraju, którego rok już prawie nie widział i nieprędko może zobaczy.

Po tygodniu zimy ani śladu. Zostało tylko błoto i to nie bylejakie. Kto zna Hrubieszowskie albo Miechowskie, rozumie, co to jest błoto, ale pomimo to nie może sobie jeszcze zdawać sprawy z krymskiego błota. Nogi się ślizgają na wszystkie strony a ciężar oblepionej podeszwy przechodzi wszelką wyobraźnię.

W tym to czasie spotkałem ogromnie blizko dwa orły. Szukając owych kur, o których uprzednio wspomniałem, wszedłem bezmała na jakąś starą padlinę, przy której ucztowały.

Ach, czemuż miałem właśnie 6-ty numer śrutu! Dwa razy strzeliłem do jednego i tego samego orła nie dalej niż na trzydzieści kroków. Oba strzały dostał. Po drugim spadł nawet na ziemię. Już biegnę do niego pełen emocyi, a tu szelma porywa się na nowo i zanim zdążyłem nabić, odlatuje gdzieś na niedostępne skały.

Skończyło się na tem, iż nie udało mi się żadnego zabić przez cały czas mego na Krymie pobytu, boć z dubeltówki to ciężka sprawa.

Zresztą co tu mówić o orłach, kiedy kruka tu nawet nie zabiłem żadnego, choć to podobno „żadna sztuka zabić kruka", ale niechno spróbują ci, co to powtarzają.

Zaczęły się znów pogody i ciepła iście wiosenne, polowania jednak urwały się prawie zupełnie. Słonka była prawie już rzadkością.

Normalnie w tym właśnie czasie zaczynał się sezon ptactwa wodnego. Na morskiem wybrzeżu roiły się stada gęsi, nurów, łysek, kaczek wszelkich możliwych gatunków, ale cóż z tego, kiedy o dostępie do morza ze strzelbą nie można było nawet marzyć. Toć to wojna, a całe nasze wybrzeże - jedna linia fortów.

Gdyby kto myślał, że na tem kończy się bogactwo krymskiej fauny, byłby w błędzie.

Przedewszystkiem nie można przemilczeć o tak wspaniałym ptaku, jak drop!



Krymski Owczarek

Dropie przebywają licznie na południowych stepach Rosji, jak również na całej północnej części Krymu, a w czasie ostrej zimy i głębszego śniegu przenoszą się aż za góry nad samo południowe wybrzeże morskie. Wtedy to upolowanie takiego ptaka, jak mi opowiadali mejscowi myśliwi, nie przedstawia tu wielkich trudności. Dodaję naumyślnie słowo „tutaj", bo wiadomo jest chyba wszystkim, którzy polowali na dropie, jakie są one mądre i jak trudną przedstawiają zdobycz dla myśliwego.

Nie było mi jednak sądzonem spotkać się z dropiem w tym roku, zato nareszcie doczekałem się kuropatwy.

Była to moja ostatnia ekspedycja myśliwska na Krymie.

Ponieważ lada dzień miałem opuścić te strony, wybrałem się na całodzienną wycieczkę po okolicy w dniu 27 grudnia. Tymrazem puściłem się na piechotę i mało chyba powiem, żem zrobił ze trzydzieści kilometrów.

Marszruta moja była następująca: Wzdłuż całego niemal Sapuna pod wieś Czorgun, stamtąd przez znane już nam dobrze lasy w Kuru-Uzień do wsi Kamaki, dalej przez Kadikoy do domu.

Godny finisz po całym sezonie tembardziej, że na pociechę po tych trudach wróciłem obarczony

potrójną zdobyczą: jeden zając, jedna słonka i nareszcie pierwsza w tym roku kura.

Jutro opuszczam Krym. Ciekawym, czy też sądzone mi będzie zobaczyć go jeszcze kiedy. Toć żyjemy w czasach gdy rzeczy najmniej spodziewane stają się zupełnie naturalne, a przeciwnie, wiele najzwyklejszych projektów nie może dojść do skutku.

W każdym bądź razie wynoszę stąd tyle miłych wspomnień myśliwskich, że z niemałą radością chciałbym je kiedyś jeszcze odnowić.

Nie przeczę, że u nas w kraju można też wielkich doznać pod tym względem rozkoszy. Przyjemnie jest narżnąć zajecy w kotle, lub sztrejfie, bodaj że jeszcze przyjemniej zjeść potem dobry obiad i mile spędzić wieczór na tańcach, lub bridge'u, ale prawdziwa przyjemność to jest polowanie połączone z dzikością samej natury. Cóż dopiero powiedzieć gdy ta natura tyle ma krasy, co krymska.

Krym, Altyn Dere Si 29 grudnia 1915 roku.

JANUARY STARZYŃSKI.

Z moich polowań z psami na dziki.

Było to w grudniu 1919 roku: początkowo zima była łagodna i przez dłuższy czas nie mieliśmy ani mrozu, ani śniegu. Byłem w okolicy na kilku mniejszych polowaniach z nagankà, mieliśmy jednak do strzelania przeważnie tylko szaraki, czasem rudego rabusia—lisa, raz zamieszał się jakiś nieopatrzny warchlak i legł od śrutowych strzałów. Parę razy mieliśmy wprawdzie w miotach po kilka sztuk większych dzików, ale te na linję myśliwych wyjść nie chciały, prawie zawsze podchodziły gęstemi zagajami pod stanowiska, nafukały groźnie i zawracały z furją na naganke, która z szacunkiem ustępowała im z drogi, a często drapała się na drzewa. Z psami też się nie udawało; otropić nie było można, a dziki zaszywały się w gąszcze, rokiciny i mokradła, gdzie trudno było je odnaleźć, a często nawet dojść nie było sposobu.

Nareszcie długo oczekiwany śnieg zaczął padać i sypał przez parę dni. Spragniony polowania na czarną zwierzynę, umyśliłem, że jak tylko się wyjaśni, zaraz zapoluje z psami. Trzeciego dnia przejaśniło się i wziął kilkunasto - stopniowy mróz, ale dzień na polowanie był nieodpowiedni. Drogi były kopne, w zagajach taka okiść, że zdawało się, że przejść takowych nie będzie można. Na starym lesie śnieg leżał równo, śladów żadnych, tylko w zagajnikach i na linjach leśnych widać było parę przejść dziczych, ale tak zasypanych, że nawet kierunek, w jakim dziki szły, był wątpliwy. Było widocznem, że dziki są, ale jaką sekcję lasu przeszły i gdzie zaległy, trudno było wymiarkować. Postanowiłem jednak spróbować, zakładając gęste, młode zagajniki, w których zwykle dziki lubiły się zatrzymywać. Miałem ze sobą cztery psy wcale niezłe początkujące sobie z dzikami, a mianowicie: sędziwego „Miszę" pokrytego zaszczytnemi bliznami, który pamiętał jeszcze polowania przedwojenne, zawziętego „Figla", który drugą zimę wojował już z dzikami, i dwoje młodych b. sprytnych i ciekawych, choć niezbyt odważnych piesków: czarnooką „Gitlę" i rudego „Pinkusa". Gajowego, który prowadził psy posłałem jedną stroną zagajników, ja zaś poszedłem drugą stroną, linją leśną do miejsca, gdzie widoczne były stare przejścia dzików.

W lesie panowała absolutna cisza, śnieg grubo pokrywał gałęzie zagajów, tłumiąc przedostawanie się wszelkich dalszych odgłosów. Siadłem na pieńku i z natężeniem nadsłuchiwałem, trwało to dość długo, może godzinę, a może i więcej. Naraz grubym przytłumionym głosem, jakby z pod ziemi, naszczekując z przestankami, odezwał się stary „Misza", do którego następnie dołączyły się i inne psy i zaczął się się ten hałas piekielny, to zajadłe ujadanie na oko, tak miłe dla ucha myśliwego, które mnie dziś jeszcze, pomimo moich 75 lat i kilku setek zabitych dzików, przyprawia o bicie serca...

Z przytłumionego głosu psów, jaki mnie dochodził, miarkowałem, że rozprawa toczy się daleko, z rodzaju naszczekiwania wnioskowałem, że psy atakują stado. Gajowemu zaleciłem poprzednio, że jeżeli psy wezmą dziki blisko mnie, aby zachowywał się spokojnie i dał mi czas na podejście, jeśli zaś zaatakowały blisko niego, po drugiej stronie zagajów, aby głosem i hałasem straszył je w moją stronę, gdyż przedarcie się przez zasypane zagajniki, na całej ich długości było dla mnie przytrudne. Ponieważ dziki były daleko, pozostałem przeto na miejscu, niedaleko od starych weksli, uważnie tylko wsłuchując się w przebieg ataku.

Po kilkunastu minutach naszczekwania w miejscu, głosy psów przycichły, ale wkrótce usłyszałem atak „Miszy" i „Figla" daleko bliżej mnie. Kombinowałem, że stado się rozbiło i że psy atakują pojedynczego dzika, który odłączył się od stada. Natychmiast poszedłem w prostym kierunku na głos i teraz dopiero okazało się, jak nieodpowiedni był ten dzień na polowanie: zagaje były b. gęste, gałęzie pokryte grubą warstwą śniegu, poopuszczały się ku ziemi, tworząc białą, zbitą ścianę, przez którą trzeba się było poprostu siłą przebijać. Śnieg z gałęzi poruszanych opadał gęstą masą, wciskał się wszędzie, był w rękawach, za kołnierzem, w kieszeniach bekieszy, w cholewach butów... A tu trzeba było jeszcze broń chronić, aby się lufy nie zapchały i z szyby sztućca zgarniać gromadzące się warstwy śniegu. W przestankach, kiedy zmuszony byłem zatrzymać się, dla nabrania tchu, orjentowałem się, że dzik jest o kilkadziesiąt kroków i że za chwilę dojść go muszę, jakoż zbliżyłem się tak, że widziałem parę razy obskakujące go psy, widziałem chwiejące się chojniaki i sypiący się śnieg. W momentach, gdy dzik rzucał się za psami, słyszałem groźne fukanie i sapanie, ale choć byłem od dzika nie dalej jak na 10 kroków, dojrzeć go nie mogłem, w wyczekiwaniu odpowiedniej chwili do strzału, przy wzmożonym ataku psów, które czując za sobą myśliwego nacierały zajadle. Stałem już parę minut, naraz chojniaki znów się mocno zachwiały, posypał się cały tuman opadającego śniegu i jeden z psów żałośnie zaskomlał, widocznem było, że został cięty. Dzik słabo już atakowany przez drugiego psa, poszedł dalej wgłąb zagajników. Okazało się, że ciętym został „Figiel"; miał szpetną długą i głęboką ranę przez udo. Po paru minutach wrócił i „Misza", widocznie nie mając podtrzymania i nie czując się pewnym w zasypanych zagajnikach, nie śmiał dalej iść sam za dzikiem. Mając jednego psa ranionego, a drugiego mocno zmęczonego i szalenie trudny do przebycia zagajnik, nie ryzykowałem już dalej podprowadzać psy, lecz swemi śladami skierowałem się do linji, obydwa psy powlokły się za mną. Na linji chwilę się zatrzymałem, ale ani pozostałych dwóch psów, ani gajowego doczekać się nie mogłem, poszedłem więc powoli w stronę gajówki, gdzie zostawiłem konie. Dopiero na końcu zagajów spotkałem gajowego, który prowadził „Gitlę" i „Pinkusa" — potwierdził, że tak, jak przypuszczałem, psy początkowo atakowały stado, że kiedy stado się rozbiło, psy rozdzieliły się, dwa starsze poszły w moją stronę, a dwa młodsze przeszły w sąsiedni miot, ale tam długo dzika nie trzymały i wróciły do gajowego. Ponieważ raniony pies mocno krwawił, a inne były pomęczone, i była

mała nadzieja na spotkanie z dzikami, przeto zakończyłem polowanie i syty wrażeń i emocji, powróciłem do domu, żałując tylko pokiereszowanego pieska, który na parę dni został obezwładniony.

W parę dni później, wybrałem się powtórnie do tej samej kniei, żywiąc nadzieję, że uda mi się ukarać owego sierdzistego dzika, który mi tak szpetnie psa pokaleczył, że musiałem go jeszcze nadal pozostawić w domu, zabierając tylko trzy pozostałe. Pogoda tymczasem znacznie się zmieniła, wieczorem dnia poprzedniego była odwilż i duże śniegi, jakie spadły, zamiękły i zaczęły topnieć. W nocy jednak wziął spory mróz, tak, że na drogach zrobiła się gołoledź, a na śniegu twarda, mocna skorupa. Gajowy, który miał polecenie tropić dziki, zameldował, że tropów niema zupełnie i że prawdopodobnie dziki wyszły w sąsiednie knieje. Nie bardzo ja jednak tym relacjom wierzyłem i postanowiłem osobiście sprawdzić. Założyłem z psami najprzód w zagajnikach, w których przed tygodniem miałem dziki, przeszedłem takowe w rozmaitych kierunkach, okiści już nie było, obleciała w czasie odwilży i pod tym względem było dużo lepiej, można było już widzieć na dość dalszą odległość, tylko chodzenie było b. złe, mróz w gęstych zagajach ściął śniegową powierzchnię słabo, sformowała się skorupa krucha, tak że nietylko dzika, ale i człowieka utrzymać nie mogła i prawdopodobnie z tego powodu dziki zmieniały legowiska.

(Dok. nastąpi).

WALENTY WŁODZIMIERZ GARCZYŃSKI.

Opanowanie wyżła w polu.

(Zob. Nr. 8).

Gdy chcemy psu obrzydzić pewne zachowanie się, które uważamy za niewłaściwe, używamy w polu nie bata, a procy gumowej, z której myśliwy musi umieć dostatecznie dobrze strzelać, aby psa za każdym razem na odległość do trzydziestu kroków celnie i boleśnie w zad lub bok trafić. Unikamy oczywiście strzałów z przodu i wogóle takich, którymi pies mógłby być trafiony w oko. Gdy sami nie umiemy strzelać celnie, co zresztą nie jest trudnem, bierzemy młodego chłopaka posiadającego tę umiejętność. Zresztą bodaj że każdy prawdziwy myśliwy w młodych swych latach miał okres, gdy był myśliwym — z procą — i obchodzić się z tym przyrządem umie. Jako pocisków używamy kamyków wielkości dużego orzecha laskowego, średniej wielkości kasztanów, wreszcie pojedyńczych loftek, w miarę tego, co mamy pod ręką. Strzał z procy jest bardzo bolesny, nie grozi jednak psu żadnem kalectwem, może nastąpić niezwłoczne po niewłaściwym postępku, nie wymaga przywoływania psa, nie daje myśliwemu możności wpadania w pasję i przez swe działanie na odległość wzbudza w psie niesłychany respekt, trzymając go w nieświadomości co do zakresu władzy jego pana. Nie zapomnę nigdy wyrazu oczu jednego z moich psów, który wypadkiem przy wybieraniu się na polowanie zauważył, że biorę z sobą procę, chowaną zwykle do kieszeni lub torby. Zdziwienie, nagły przestrach, niezadowolenie i rezygnacja malowały się równocześnie w jego oczach w których można było wyczytać mniej więcej myśli: „O psiakrew, on wziął dziś procę, trzeba się będzie mieć na ostrożności, by czego nie przeskrobać".

I rzeczywiście dnia tego pracował bez zarzutu.

Natomiast, gdy idziemy z psem w pole, usuwamy z rekwizytów myśliwskich całkowicie bat, a przynajmniej nosimy go tylko dla postrachu, oraz użytku w wyjątkowych razach, gdy pies jest na otoku i w zupełnej władzy układającego. Rolę swą bat całkowicie spełnił przy nauce warowania i chodów oraz zachowania się w domu.

Do użytku w polu bat jest najgorszem narzędziem, jakie można wymyślić, najlepiej żeby go tam wcale nie było. Mam przekonanie, że nieużywanie bata w polu z czasem stanie się taką powszechną regułą, jak nieużywanie go przy nauce aportowania i niewrzucanie psa przemocą do wody. Istotnie, aby wymierzyć odpowiednią porcję razów, myśliwy musi psa przywołać i złapać. Pies bardzo prędko to zauważa, nie chce podchodzić, co jeszcze bardziej irytuje myśliwego. Gdy wreszcie dorwie się do psa, tłucze go w pasji, aż się sam rzetelnie zmęczy. W rezultacie, ponieważ młody pies popełnia i musi popełniać ciągłe wykroczenia, jest łapany i bity po kilkanaście i więcej razy dziennie. Rzadko przytem jest w tem zachowane jakiekolwiek umiarkowanie. Wkrótce też pies nabiera przekonania, że po to tylko podchodzi do pana, aby dostał odpowiednią porcję razów. Jeśli nie jest zupełnie głupi, trzyma się od niego na starannie odmierzoną odległość, staje się nerwowym, lękliwym, traci zaufanie i przechodzi do kategorji psów przestraszonych. Strach przed karą i odczuwana doskonale przez psa irytacja pana każą mu zupełnie zapomnieć o związku, jaki istnieje pomiędzy popełnionem wykroczeniem, a plagami, szczególniej jeśli karę poprzedzał proces „łapania". Słowem owo szczególniej przez myśliwych starej daty uprawiane bicie psa, służy jedynie do wyładowywania nerwów i uspokojenia irytacji myśliwego, nie przyczyniając się niczem do postępów u psa, a przeciwnie, wyrabiając w nim wady.

Z batem nieodzownie łączyło się pojęcie kary i pogląd na psa jako na przestępcę stale popełniającego złe uczynki. My sprawiedliwość zostawiamy sądom, a psu każemy liczyć się nie z karą a „z przykrymi skutkami niewłaściwego zachowania", którego należy się na przyszłość wystrzegać. Nie możemy przecież ignorować i nie wyzyskiwać okoliczności, że wszystkie psy są nadzwyczaj pamiętliwe. Staramy się też tak biegiem spraw kierować, aby owe przykre skutki niezwłocznie po niewłaściwym postępku następowały. Gdy nie możemy tego dopiąć jakiś czas ignorujemy odnośne wykroczenie psa, czekając cierpliwie, aż stopniowe opanowanie go da nam możność odpowiedniego reagowania i usunięcia zauważonej wady. W związku z tem nie wydajemy nigdy rozkazów i do wykonania których nie możemy psa zmusić, względnie niewłaściwe zachowanie mu obrzydzić i wogóle jaknajmniej wołamy i komenderujemy psem.

Kontentujemy się narazie, że w pożądanej odległości pracuje i liczy się z naszą obecnością.

Na psa patrzymy jak rzeźbiarz na niewykończony posąg, który w tym lub innym kierunku stopniowo okrzesać i wykończyć wypadnie.

Tak zapatrując się na nasze środki i zadania przystępujemy do właściwego układania. W tym celu wybieramy teren otwarty dostatecznie, jednak gęsto roślinnością porosły (błoto, pola pokryte kartoflami, burakami, koniczyną i t. p.), który, dając możność obserwowania psa, utrudnia mu jednak zbyt szybkie bieganie. Wstępując w pole, przyczepiamy sznur do obroży, do nieściągającego kółka i pozwalamy psu sznur wlec za sobą, nie przytrzymując go, jednak bynajmniej ręką. Pozbawiony w ten sposób, a przynajmniej ograniczony w możności bezmyślnego bujania i przeciwnie mając możność obserwowania pana, pies wkrótce zacznie się zacinać, a potem mniej lub więcej twardo wystawać. Uczyni to w każdym razie, gdy się już trochę zmęczy.

(C. d. n.)

JANUSZ DOMANIEWSKI.

Przegląd polskiej literatury łowieckiej.

Włodzimierz Korsak. „Pieśń Puszczy". Powieść myśliwska. Z rysunkami autora. Nakładem Księgarni i Składu Nut „Perzyński, Niklewicz i S-ka". Warszawa 1924 r.

Autor, znany zaszczytnie ze swych prac teoretycznych w dziedzinie łowiectwa, wstępnym bojem zdobył sobie przez tę powieść imię i w literaturze pięknej. Natchnieniem były mu przyroda i łowy, to też powieść jest naprawdę myśliwską. Tłem jest puszcza. W niej bohater powieści żyje i z nią zaczyna się splatać w jedną całość jego istnienie. Pod jej ożywczem tchnieniem budzi się w nim poczucie prawdy życia i zdolność rozwiązywania jego zagadnień nie drogą kompromisów, lecz drogą serca. Prości i żywi są ludzie w powieści Korsaka, prostem i nieskomplikowanem jest ich bytowanie. Potem przychodzi miłość i... sytuacja się wikła, chwilami tak bardzo, że zaczynamy odczuwać pewien niepokój, czy aby autor rozwiąże ją na poziomie całości książki? I autor rozwiązuje sytuację świetnie. Do licznych głosów puszczy, przybywają akordy dwóch młodych serc, bijących ku sobie najszczerszą radością życia. Temi pełnemi akordami kończy Korsak swą „Pieśń Puszczy".

Opisy przyrody są świetne. Oto początek drugiego rozdziału:

„Szeroko rozwinęła wiosna swe natchnione skrzydła nad białoruską ziemią. Wielkie śniegi w głębi borów osiadały i ginęły w oczach, a leśne błota stały pod wodą, z której wyłaniały się kępy mchu, zdobne w różańce przemarzłych, nalanych kwaśnym sokiem żórawin.

Na poczerniałej, rozmokłej ziemi zaczynało budzić się życie i wartki prąd jego zataczał coraz szersze kręgi, obejmował i brał w ramiona świat cały.

Noce nastały ciepłe, przesiąknięte wilgocią... W nieprzebitych ciemnościach powietrze rozbrzmiewało szumem i świstem licznych rzesz ptasich, lecących na północ, a nad szerokiemi rozlewami, marszczonemi przez ciepłe podmuchy, śmigały, w jasnych promieniach słońca stadka kaczek i kulików. Rzeka zrzuciła pęta lodowe i toczyła teraz wolno przez podmokłe lasy swe nabrzmiałe wodą nurty. Miejscami rozlewała szeroko, zatapiając błota i łąki, i wówczas, jadąc łodzią, miałeś wrażenie, że się znajdujesz na bezkresnej wodnej przestrzeni. Olszniaki stały ciche, niedostępne dla stopy ludzkiej, odbijając ciepłym, bronzowym kolorytem od żółtej, nadbrzeżnej trzciny".

Książkę zdobią winietki o wysokiej artystycznej wartości, rysowane przez samego autora.

Ze Stowarzyszeń łowieckich i pokrewnych.

STEFAN LEWICKI.

SPRAWOZDANIE

z 6-cioletniej działalności Kółka Łowieckiego w Puławach, oraz kilka ogólnych uwag w sprawach łowieckich.

(Zob. Nr. 7)

Ponieważ kwestję sarn już omówiłem wyżej i zaznaczyłem wydatny, mimo wszystko, wzrost ich ilości, i tu tylko nadmienię, że wymieniony w rozkładzie jeden rogacz sam się zabił o drzewo, zbyt silnie napędzony przez naganke*) w tak zwanej dragowinie, oraz że członków naszego kółka istotnie cechuje nadewszystko umiłowanie zwierzyny, skoro z jednej strony mimo posiadanego prawa odstrzelania kilku rogaczy, zaś z drugiej kończącego się za rok terminu dzierżawy — do tych ostatnich nie strzelano.

W kwestji dzików na omawianych terenach należy zaznaczyć ten bardzo smutny dla naszych członków objaw, że dziki te, aczkolwiek w stosunku do pierwszych lat naszej gospodarki bardzo wydatnie się rozwinęły, to jednak są prawie nieuchwytne dla zorganizowania polowania na nie.

Przyczyna tego leży także przedewszystkiem w tem, iż zwierz ten wymagający większego spokoju, nie znajduje go tutaj prawie nigdy: ani w czasie wychowu prosiąt, wobec wiecznie grasujących zbieraczy jagód lub suszu, ani w jesieni i w zimie wobec wywożenia drzewa i materjałów leśnych po niezliczonych, bez wszelkiego sensu i planu przecinających lasy drogach i dróżynkach. Gdy zaś przyjdą śniegi, i możnaby, mimo wszystko czasem dziki te otropić, to tego straż rządowa leśna albo nie potrafi, albo też niechce się jej poprostu, nie było bowiem jeszcze takiego wypadku, aby dano nam znać o otropionych dzikach (ale niespodziewane na polowaniach zajęczych wychodziły niejednokrotnie).

Zestawimy teraz wykazy ubitej zwierzyny w ten sposób, aby wyrobić sobie porównawcze pojęcie co do stanu zajęcy w polu a w lesie, oraz takiegoż porównania dwuch lasów: rządowego i znajdującego się w odrębnej gospodarce lasu Instytutu.

Tablica 2.

Data	Zabito zajęcy w polach	Zabito zajęcy w lasach	Z ogólnej ilości zabitej w lasach, wypadło na lasy:	
			Rządowe	Instytutu
1919/20	16	30	Niepolowano	30
1920/21	9	65	36	29 i 2 lisy
1921/22	28	71	58 i 2 lisy	13 i 3 ,,
1922/23	50	76	23 i 3 ,,	53 i 2 ,,
1923/24	55	72	50	22 i 1 ,,
1924/25	40	112	59	53 i 3 ,,
Razem	198	426	226 i 5 lisów	200 i 11 lisów

czyli przeciętnie pada rocznie w polu (198:6) = 33, i w lesie (426 : 6) = 71 zajęcy. Liczby te jednak będą dopiero wtedy miarodajne, jeżeli przyjmiemy pod uwagę opolowywaną przestrzeń, na której osiągano powyższe wyniki 670 hkt. pól i 2700 lasów (1950 hkt. rządowych i 750 hkt. Instytutu). Otrzymamy wtedy:

1 zająca w polu na 20.3 hkt

i 1 zająca w lasach na 38,0 hkt.

z czego wynika, że zające w polach są prawie dwa razy liczniejsze niż w lasach, porównywując zaś

*) Może ciekawem będzie przy tej okazji dla pp. myśliwych zanotowanie faktu, że takim samobójstwom mogą podlegać nietylko sarny, ale nawet lisy. W styczniu bowiem r. b. na polowaniu w lasach Kórnieckich (Poznańskie) byłem świadkiem, iż stary lis, naciśnięty przez nagankę w skoku przez linkę jak niefortunnie uderzył się o drzewo, iż padł na miejscu. (Inni świadkowie: prof. L. Marchlewski-Kraków, i prof. R. Prawocheński-Kraków).

w podobny sposób lasy rządowy i Instytutu, otrzymamy:

1 zająca w lasach rządowych na 43.3 hkt.
i 1 „ „ Instytutu „ 22.7 „

z czego wypływa, że zające w lasach Instytutu są prawie 2 razy liczniejsze w porównaniu do lasów rządowych.

To ostatnie zestwienie zasługuje na tem większą uwagę, iż jednocześnie w tychże lasach Instytutu zabito w sprawozdawczym okresie 11 lisów, gdy w rządowym tylko 5, czyli, że większa ilość lisów, pomimo, iż grasowała na więcej niż dwukrotnie mniejszej przestrzeni, bynajmniej nie przeszkadzała względnie intensywniejszemu rozmnażaniu się zajęcy w lasach Instytutu. Nie chcę bynajmniej przez to twierdzić, że lisy nie są wogóle szkodliwe dla zwierzostanu, zaznaczane jednak stosunki tembardziej uprawniają do szukania gdzieindziej przyczyny słabszego stanu zajęcy w lasach rządowych. Jest ich cały szereg, często zresztą powtarzanych i szeroko wszystkim znanych; przedewszystkiem uważam za najgłówniejszą, iż rządowa straż leśna w olbrzymiej ilości wypadków, jeżeli nie jest wprost szkodliwą dla znajdującej się zwierzyny w obrębie strzeżonych przez nią rewirów, to conajmniej zupełnie obojętną. Są to ludzie pochodzący bardzo często z najbliższych wsi, znajdują się z mieszkańcami tych wsi w ciągłej styczności bądź w pokrewieństwie, i w interesie własnego spokoju patrzą przez palce na takie drobiazgi jak łapanie zajęcy we wnyki, a już żaden z nich nigdy się nie narazi na przypilnowanie kłusownika wychodzącego pod las (bodaj tylko pod las!) na sarenkę.

Bądź co bądź faktem jest, że jeszcze nie zdarzył się u nas przypadek w okresie sprawozdawczym pojmania, a bodaj dokładnego zameldowania kłusownika takiego to, a polującego tam to i w takim to dniu, przez rządową straż leśną. Pozatem straży tej jest wogóle b. mało, zajętej stale przy robotach leśnych; zaś co do administracji leśnej to nawet przy najlepszych chęciach posiadając taką straż, niewiele można zrobić; pomimo to wydaje mi się, że w naszych warunkach pozostawia jeszcze wiele do życzenia stosunek służbowy tej straży do swej administracji, przedewszystkiem brak karności i znajomości swej służby, a nawet niejednokrotnie i rewiru. Jakże dalekim to jest wszystko od poziomu Wielkopolskiej służby leśnej, a nawet od przeciętnego prywatnego gospotarstwa leśnego w byłem Królestwie.

Za niemniej groźne w skutkach dla zwierzostanów lasów rządowych należy bezwzględnie uważać t. z. poboczne użytkowanie lasu. Sprowadza się to przedewszystkiem do wypasania za pewną opłatą wszelakiego rodzaju bydła w lesie, właśnie w okresie rozmnażania się zwierzyny, gdy ona wymaga opieki i spokoju. Nie ma miejsca wówczas nieszczęśliwy zwierz czy ptak dla ukrycia się i wszędzie taki bydlak dobrnie; włażąc nawet po uszy w bagno, potrafi objadać roślinność, zakłócając wszelką harmonje w naturze. A pastuszkowie tego bydła? — nikt ich nie pilnuje, i biada wszelkiemu żyjącemu stworzeniu, które wpadnie w ich ręce. Gdy wreszcie z nastaniem późniejszej jesieni klęska ta mija, i cała szarańcza opuszcza las, — daleko jeszcze biednej zwierzynie do zaznania jakiego takiego spokoju: przychodzi czas zgarniania opadłych liści i igliwia na ściółkę. Dziesiątki i setki ludzi z worami i płachtami wypełniają wszystkie te miejsca, gdzie tylko można dotrzeć z grabiami; w miejscach tych nietylko w czasie owych sławetnych zbiorów, ale nawet później nie ostanie mysz nawet, nietylko zając, gdyż bowiem znajdzie on przytulisko dla spoczynku na wygolonej i ogołoconej do szczętu ziemi, (właściwie piasku), ze wszystkiego, co znajdowało się na poziomie grabi? Pomijając jednak względy ochrony i spokoju zwierzyny, rzeczą jest zupełnie zrozumiałą, że powyższe czynniki „gospodarcze" prowadzą niemniej pewnie do zupełnej dewastacji lasów. Wiadomem jest bowiem każdemu przyrodnikowi i leśnikowi, że głównem źródłem żywienia lasu jest właśnie owo naturalne nawożenie jego przez opadające igliwie, które nagromadzając się latami wytwarza próchnicę, mineralizuje się, dając niezbędne roślinom żywiące je sole. Ma to tem większe znaczenie, o ile lasy znajdują się na ubogich piaskach, i gdzie im zagrabionego pokarmu nic już nie jest w stanie powetować. I doprawdy okropny widok wywierają takie obszary leśne z wygrabionym igliwiem, rosnące na żółto - białym gołym piachu! Nigdy nie wyrosną one na dorodne drzewa. A co będzie dalej po ich wyrąbaniu, co utrzyma taki piach od rozdymania wiatrem? Odpowiedź na to może znaleść każdy, kto z okien wagonu ogląda bez nadziejnie smutne pustynne przestrzenie po wyrąbanych lasach, hen daleko po obu sronach toru kolejowego, na linji Dęblin — Puławy, bliżej tego pierwszego. Muszę tu zaznaczyć, iż wiem dobrze, że leśnicy nasi bynajmniej nie protegują tego rodzaju gospodarki w lasach rządowych; podobno decydujący wpływ wywierają tu posłowie sejmowi pewnych ugrupowań. Oczywiście, że jest to więcej niż krótkowzroczna polityka; za cenę bowiem furki igliwia na ściółkę dla prosiaczka, utraconego przyrostu drzewostanu nigdy się nie powetuje.

Przechodząc do omówienia stosunków łowieckich w pow. Puławskim, należy zauważyć, że ruch w tym kierunku jest zupełnie nieustalony; to znaczy, że myśliwych jest napewno więcej (aż nadto), ale dążenia do wytworzenia jakichś organizacji brak. Jest tylko ponoć w pobliżu Puław t. z. włościańskie kółko łowieckie, o jego działalności żadnych danych nie posiadam. Pozatem polują sobie luzem, gdzie kto i kiedy może. Nasze Towarzystwo ze względu na bardzo szczupłe tereny oczywiście wszystkich myśliwych zaspokoić nie może; wszelkie starania nasze w kierunku pozyskania większych obszarów leśnych leżących w pobliżu nie doprowadziły do wyniku, gdyż władze leśne naszego okręgu najlepsze tereny pozostawiły dla swojej administracji. A tymczasem istnieje takie proste rozwiązanie całego, zdawałoby się skomplikowanego problemu: przecież wszyscy panowie leśnicy mogą wejść do istniejących organizacji łowieckich, zajmowane przez nich tereny stałyby się własnością Towarzystwa, którego sami byliby członkami, i wówczas nie byłoby ani zawiści, ani sporów, bowiem byłaby tylko jedna rodzina łowiecka, której każdy członek starałby sie przysporzyć jaknajwięcej. Dlaczego zaś panowie leśnicy wyobrażają sobie, że tylko oni mogą polować w lasach rządowych, że tylko oni mogą i umieją prowadzić gospodarkę łowiecką, — tego doprawdy nikt chyba nie zrozumie, a to temwięcej, iż pojęcie „gospodarka leśna" bynajmniej nie pokrywa pojęcia „gospodarka łowiecka".

Ten więc szkopuł — trudność ekspansji terenowej, jest, aczkolwiek nie jedynym powodem trudności zawiązania się nowych organizacji łowieckich a co najważniejsze, rozszerzenia się już dawno istniejącej naszej. Polowania na terenach chłopskich są w bardzo znacznej części wydzierżawiane przez nich samych, lub oddawane wzamian za usługi sołtysom: od tych zaś władców naturalnie nic już wydrzeć nie można; pozatem od myśliwych „panów" włościanie żądają za tenutę tak wygórowanej sumy, że nawet kusić się o te dzierżawy nie można i nie warto. Stan zajęcy na ich polach jest naogół bardzo

marny, wobec ogromnej ilości posiadanej broni i strasznej wprost plagi — wnykarstwa. Jestem głęboko przekonany, iż jeśli co do tego ostatniego nie będą wydane surowe przepisy karne, i to jaknajrychlej, — nic i nikt nie będzie w stanie ochronić zwierzynę od zupełnego wyniszczenia. Oprócz tego musi być w jakiś racjonalny sposób uporządkowana sprawa wydawania pozwoleń na broń przez starostwa, które tymczasem wydają je w ilości stanowczo nadmiernej. Miarodajne w tym względzie musi być nadewszystko dokładne stwierdzenie posiadania przez petenta terenu conajmniej o powierzchni 180 hkt., lecz niemniej ważnym czynnikiem musi być także sprawdzenie za pomocą opinji organizacji łowieckich, czy teren ten wogóle nadaje się do prowadzenia na nim polowania ze względu na ogólny stan zwierzyny w danej miejscowości, przyległość tego terenu do innego odgrywającego rolę mateczników, gdzie zwierzyna w danym rejonie koncentruje się i szuka ochrony i opieki, i wreszcie stan moralny samego kandydata na broń i dany teren, boć przecież najczęściej rozumuje się w ten sposób, iż dzierżawa danego terenu pozwala na nim bez przerwy polować.

(Dok. nast.)

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

Lipiec. Młode rabusie, lisy i kuny i t. p. opuściły już swe schronienia i nory; trał tylko teraz może naprowadzić myśliwego na ich ślady. Liszka kończy wychowanie swego potomstwa, zaprawiając je do łowów i myszkowania, a biada temu rewirowi, gdzie się ta szkoła odbywa.

Dla sarn poczyna się czas ruji i bekowiska; okres to dla myśliwego bardzo zajmujący i ponętny; pyszne się tu otwiera polowanie na kozły na wabika, naśladując charakterystyczny w owym czasie głos kozy. Młode kaczki zaczynają już podlatywać, można więc na nie polować. Można też rozpocząć polowanie na dubelty i kszyki z psem legawym. Główny przelot dubeltów przypada na drugą połowę tego miesiąca. Na większych polowaniach wodnych trzeba przyjąć za regułę polowanie z naganką i nie opuszczać swego stanowiska, a strzelać tylko w kierunku, w którym napewno nikt z ludzi się nie znajduje; to też tylko doświadczonych i rozważnych strzelców, obdarzonych zimną krwią, należy zapraszać na tego rodzaju polowania — inaczej o przypadek nieszczęśliwy bardzo łatwo. Żaden inny rodzaj polowania nie daje powodu do tak licznych postrzeleń, jak polowanie na kaczki.

W tym miesiącu należy ukończyć tresurę pokojową wyżłów. Da się to również zastosować i do posokowców.

W lipcu wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerjalny (dla b. Kongresówki), wydziału obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego) lub władzy powiatowej (dla Małopolski).

W. b. Kongresówce: na rogacze, na słonki (od 16 lipca), na dzikie kaczki (kaczory, kaczki i młode), na gęsi, na łabędzie, na żórawie, na siewki, na dubelty, na kszyki, na bekasiki (fie auzy), na derkacze, na bataljony, na kuligi i na dzikie gołębie.

W b. Zaborze Pruskim: na rogacze, na dzikie kaczki, na bekasy, na dzikie łabędzie, na żórawie, na kuligi, na derkacze oraz na wszelkie inne ptactwo błotne i wodne, a także na dzikie gęsi.

W Małopolsce: na rogacze, na kszyki, na dubelty, na kulony, na bataljony, na dzikie gęsi i dzikie kaczki.

Uwaga: Przepis ten nie stosuje się do polowań urządzanych w zamkniętych zwierzyńcach, gdzie przeto wolno jest polować przez rok cały.

Na Kresach: na jelenie (od 16 lipca), na rogacze, na koguty głuszca i cietrzewia (od 16 lipca), na słonki (od 16 lipca), na dzikie gęsi, na dzikie kaczki, na łabędzie, na kszyki, na dubelty, na bekasiki (fiacuzy), na czajki, na derkacze i na wszelką inną zwierzynę błotną i wodną, na pardwy (od 16 lipca), na dropie i strepety (od 16 lipca), na przepiórki (od 16 lipca), a także na wszelkie drapieżniki.

(Daty na Kresach są star. stylu).

ZE STRZELNICY P. TOW. ŁOW. W WARSZAWIE.

Dn. 18 z. m. urządziło kółko łowieckie przy szkole Gł. Gospodarstwa Wiejskiego konkurs strzelecki. Mistrzostwo kółka w strzelaniu z broni małokalibrowej zdobył p. Zygmunt Podhorski.

D. 15 z. m. na strzelnicy warszawskiego tow. łowieckiego, odbyły się drugie zawody uczniów siedleckich szkół średnich, w których brało udział 20 uczniów i 1 uczennica gimn. p. Zembrzuskiej. Wyniki: 1) Kobyliński Jan 230 pkt. (na 300 możliwych), 2) Domaszewski 227 pkt., 3) Żochowski 215 pkt., dalej idą Kobyliński T. i N. Nawińska po 196 pkt. Nagrody w postaci żetonów ofiarowało polskie Tow. łowieckie.

Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych

Od Zarządu tego Związku otrzymaliśmy co następuje:

„Z inicjatywy prezesa Wielkopolskiego Związku Myśliwych, ppłk. rez. Konstantego Chłapowskiego odbyło się w Poznaniu na uroczo nad Wartą położonej strzelnicy Bractwa Strzeleckiego w Szelągu w sobotę dnia 20 i niedzielę dnia 21 czerwca b. r. doroczne Premjowe Konkursowe Strzelanie Myśliwskie. Na szczególną uwagę zasługuje strzelanie kulowe do tarcz stałych i ruchomych, które się odbyło w sobotę przy nader korzystnych warunkach atmosferycznych, co w pewnej mierze też przyczyniło się do osiągnięcia dodatniejszych wyników w porównaniu z rokiem ubiegłym. W tem strzelaniu stanęło do zawodów 17 strzelców.

Następnego dnia, w niedzielę strzelano do rzutek (sztucznych gołębi) i tutaj brało udział w strzelaniu 15 strzelców, co świadczy o wielkiem zainteresowaniu kół myśliwskich, a pomimo deszczu szerokie masy również zaiteresowanej publiczności przyglądały się przy dźwiękach orkiestry wojskowej tym tak interesującym zawodom strzeleckiem.

Do Komisji Sędziowskiej należeli: p. generał broni Raszewski jako przewodniczący, p. radca Szczaniecki, p. generał Unrug, p. radca Przybylski, prezes Związku Leśników, p. Zygmunt hr. Kurnatowski, p. Ignacy hr. Mielżyński, p. dyrektor Alkiewicz, p. Krzysztof hr. Mielżyński i p. ppłk. rez. K. Chłapowski.

Z nadanych przez przyjaciół Związku nagród otrzymali premje za strzelanie:

Do rogacza stojącego: p. T. Jaruszewski, p. J. Ciążyński i p. rtm. rez. Pluciński.

Do rogacza biegnącego: p. K. Gozimirski, p. T. Jaruszewski i p. rtm. rez. Pluciński.

Do jelenia biegnącego: p. H. Lackman, p. ppłk. rez. K. Chłapowski i p. por. rez. W. Kostro.

Do dzika biegnącego: p. nadl. T. Metzig, p. J. Ciążyński i p. por. rez. W. Kostro.

Do zająca: p. Krzysztof hr. Mielżyński i p. ppłk. rez. K. Chłapowski.

Z pistoletu do tarczy: p. T. Jaruszewski i p. J. Pętkowski.

Do rzutek: p. nadl. T. Metzig, p. J. Pętkowski i p. T. Jaruszewski.

Szczególna wdzięczność za urządzenie konkursu należy się prezesowi Związku, p. pplk. rez. K. Chłapowskiemu i sekretarzowi p. por. rez. W Kostro oraz p. T. Jaruszewskiemu, właścicielowi fabryki broni i amunicji, za urządzenie technicznej strony konkursu i bezinteresowne ofiarowanie potrzebnych do tego przyrządów. Sygnalizację elektryczną zakładał p. F. Kaczmarek, właściciel biura technicznego.

Z największem uznaniem podajemy nazwiska ofiarodawców: p. generała broni Raszewskiego, p. Ignacego hr. Mielżyńskiego, p. Zygmunta hr. Kurnatowskiego, p. generała A. Unruga, p. Krzysztofa hr. Mielżyńskiego, p. Zbigniewa hr. Gorzeńskiego, p. radcy St. Stablewskiego, p. pplk. rez. K. Chłapowskiego, p. J. Pętkowskiego, p. T. Jaruszewskiego, p. E. Minkiego, p. H. Lackmanna, p. K. Chmielewskiego, Resursy i Towarzystwa Łowieckiego, którzy pięknemi premjami przyczynili się do uświetnienia konkursu, dając tem samem dowody życzliwości dla Związku i jego doniosłych celów.

Z ubolewaniem zauważono brak gości z innych Związków należących do Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, pomimo że Wielkopolski Związek Myśliwych zaprosił piśmiennie, jak i we wszystkich gazetach myśliwskich delegatów tychże Towarzystw.

Wyrażamy nadzieję, że w roku następnym Gród Przemysława zgromadzi na wspomnianej strzelnicy w Szelągu reprezentantów z całej Polski i zapasy strzeleckie w Poznaniu staną się punktem zbornym dla wszystkich miłośników i sympatyków sportu strzeleckiego całej Polski".

W Płocku wyznaczono na niedzielę, dn. 28 VI zawody strzeleckie w strzelnicy koszarowej 4 p. S. K.

Program:

I. Broń długa: Kule. Odległość 100 metrów. Pozycja stojąca, klęcząca i leżąca. Tarcza 12 pierścieniowa o średnicy 1 mtr. Ilość strzałów 3 próbne i po 5 z każdej pozycji.

II. Broń krótka: pistolet lub rewolwer. Odległość 25 metrów. Pozycja stojąca z wolnej ręki. Tarcza 10 pierścieniowa o średnicy 50 cm. Ilość strzałów 3 serie po 6 strzałów plus 3 próbne.

III. Karabinek małokalibrowy. Odległość 20 metrów. Pozycja stojąca z wolnej ręki. Tarcza 10 pierścieniowa o średnicy 10 cm. Ilość strzałów 5 próbnych i 5 serii po 6 strzałów. Z próbnych po 1 strzale do każdej serii.

IV. Karabinek małokalibrowy. Odległość 50 metrów. Pozycja stojąca z wolnej ręki. Tarcza 10 pierścieniowa o średnicy 50 cm. Ilość strzałów 8 próbnych i 4 serie po 10; z próbnych po 2 strzały do każdej serji.

Zawody dla pań.

V. Karabinek małokalibrowy. Odległość 25 metrów. Pozycja stojąca z wolnej ręki. Tarcza 10 pierścieniowa o średnicy 30 cm. Ilość strzałów 5 próbnych i 5 serji po 6 strzałów. Z próbnych po 1 strzale do każdej serji.

VI. Zawody dla młodzieży. Karabinki. Warunki jak dla pań.

Nagrody: W serji I, II, IV po 3 medale, w pozostałych po 2 medale. Zawody dostępne dla wszystkich. Broń, amunicja, tarcze na miejscu za zapłatą. Wpisowe 1 zł. Początek zawodów od godziny 8 do godz. 10. (Broń długa). Od 15 do 20 pistolety, karabinki kal. 22.

Wejście na strzelnicę: dla młodzieży 50 groszy. Miejsca siedzące, dla dorosłych 1 złoty.

Bialskie Powiatowe Tow. Łowieckie oraz sekcja strzelecka 34 pp. zorganizowały w dn. 29 z. m. premjowe strzelanie.

Program strzelania: 1) Od g. 14 — 15 próbne strzały oraz zapisy; 2) od godz. 15 — 16 strzelanie prem. do gołębi asfaltowych z broni śrutowej; 3) od g. 16 — 17 strzelanie prem. z pistoletów; 4) od godz. 16 — 17 strzelanie prem. z karabinów, wzgl. odpowiedniej broni myśliwskiej do tarcz stałych na 100 metrów; 5) od g. 17 — 18 strzelanie prem. ze sztucerów małokalibrowych (flobertów).

Premje: ad) 2 I Papierośnica srebrna z napisem. II waza ozdobna; ad) 3 I Browning belgijski F. N. II figurka z terakoty; ad) 4 I Żeton złoty. II figurka z terakoty; ad) 5 I sztucerek małokalibrowy z lunetką; II żeton srebrny.

Uwaga: Strzelnica na placu za Koszarami Warszawskiemi 34 pp.

Zapisy dla wszystkich zgłaszających się dozwolone. Broń własna; jedynie małokalibrowe sztucerki mogą być wypożyczane na miejscu. Wstęp na plac strzelania 1 zł. Regulaminy strzelań na miejscu. Amunicja do broni śrutowej, flobertów i pistoletów klb. 7,65 i 6,30 do nabycia na miejscu.

Prezes Wroczyński major.

Międzynarodowy konkurs strzelecki.

W St. Gall odbędą się międzynarodowe zawody strzeleckie z dystansu 300 mtr. Plan zawiera dwie kategorje broni: dla broni i amunicji szwajcarskiej wyłącznie i dla broni i amunicyj dowolnych. W strzelaniu z karabinów na dystans 300 mtr. dopuszczone są wszystkie narodowości, zapisane do międz. Związku strzeleckiego, po 5 strzelców z każdego państwa. Rezultat strzałów wszystkich pięciu zawodników decyduje o stopniu wygranej. Każdy obowiązany jest wystrzelić 120 kul, po 40 w każdej pozycji. Najlepszy strzelec we wszystkich pozycjach łącznie otrzymuje tytuł mistrza światowego. Strzelanie z pistoletów odbywać się będzie na dystansie 50 mtr. Broń i amunicja dowolne, szkła przybliżające nie dozwolone. Każdy z uczestników (warunki, jak do konkursu karabinów) obowiązany jest wystrzelić 60 kul. Oprócz tych głównych zawodów strzeleckich o mistrzostwo w strzelaniu z karabinu (30 mtr.) i z pistoletu (60 mtr.) odbędą się jeszcze konkurencje strzelania na krótszy dystans.

Listy do „Łowca Polskiego".

Wierznica, w czerwcu.

Pozwalam sobie powiedzieć kilka słów w kwestji poruszonej w przypisku Redakcji, do mojego artykułu „W sprawie ochrony zająca".

Rzeczywiście przyznaję, że skrócenie terminu polowania na zające o dwa miesiące, przy powiększeniu się zwierzostanu, mogłoby obniżyć cenę zwierzyny na rynku.

Wobec tego proponuję skrócenie terminu polowania tylko o jeden miesiąc t. j. o cały październik. Na cenie zający napewno się to nie odbije, a uchroni je od ostatecznej zagłady na tych łowiskach, gdzie i tak już jest dziś rzadkością. Chodzi tu głównie o tereny włościańskie, na których do mrozów jest wszelka zwierzyna tępiona bez zastanowienia, przez właścicieli lub też przez dzierżawcę łowiska, pseudo-my

śliwego. Taki strzelec dąży do tego, by jaknajwięcej zwierzyny wybić, a o przyszłości zwierzostanów nie myśli.

Nie ja pierwszy proponuję opóźnienie terminu polowania na zające. Z tych samych, co i ja powodów, w roku zeszłym, starało się o to Rypińskie Kółko myśliwskie, niestety bezskutecznie.

Władysław Niedźwiecki.

Koresp. „Łowca Polskiego".

Woropajewo w czerwcu.

W dobrach Woropajewskich Konstantego hr. Przezdzieckiego w czasie od 15 marca do 15 maja b. r. zabito: słonek 38, cietrzewi 18, głuszców 7, kaczorów 4 razem sztuk 67. Największy głuszec ważył 13 i pół funtów, najmniejszy 7 i pół. Ostatnią pieśń słyszano 4 maja. Zauważono w tym roku znaczny przyrost liczby głuszców tokujących, których śpiewało około 30, nie licząc zeszłorocznych krechtunów: w roku zaś zeszłym śpiewało nie więcej jak 10.

W roku bieżącym dzięki bezśnieżnej i bardzo ciepłej zimie doskonale przezimowały pardwy. Na tokach głuszczowych słyszałem po kilkanaście tokujących pardw kogutów. Wieczorem tok rozpoczynał się dobrze po zachodzie słońca już po zapadnięciu głuszców na tokowisko, zrana na dobre pół godziny przed pierwszą pieśnią głuszca. Dzięki temu, że w ciągu trzech lat nie polowało się na pardwe, posiada dziś Woropajewo jedno z lepszych w Wileńszczyźnie polowań na te ptaki. Teren obejmuje przeszło 5 tysięcy ha mchów i torfowisk z pięknem jeziorem po środku. Teren jest bardzo starannie strzeżony i zupełnie izolowany od bydła włościańskiego, które dzięki leśnym serwitutom pastwiskowym jest na naszych kresach największą plagą myśliwych i racjonalnej hodowli zwierzyny. Na tymże terenie między 1 i 5 czerwca b. r. zauważono 3 stada młodych głuszców, widocznie z powodu wczesnej wiosny wyjątkowo wyrośniętych.

Karol Korkozowicz.

SARNA W MIEŚCIE.

W ostatnich czasach zaszedł w Dąbrowie Górniczej dość niezwykły wypadek, który przedstawia się następująco: Górnicy jednej z miejscowych kopalń węgla, idąc wczas rano do pracy, zauważyli biegnącego przez pola koziołka (sarnę). Było to w części gęsto zabudowanej Dąbrowy G. na polach, w klinie pomiędzy kopalnią „Paryż", a zachodniemi peryferjami Dąbrowy. Zmęczony pogonią licznej rzeszy robotników koziołek ukrył się w rowie napełnionym szlamem o śliskich ścianach i stamtąd nie mógł się wydostać. Robotnicy dopadli go i uderzeniami lampek górniczych oszołomili, a rzuciwszy się nań, silnie go poturbowali. Dzięki interwencji jednego z miejscowych myśliwych, który o wypadku powiadomił prezesa tutejszego Tow. Myśliwskiego, a ten znów policję, koziołek silnie zmęczony i chory, wyrwany został z rąk oprawców i przeprowadzony do tutejszego Magistratu: następnie ulokowany został w ogródku pod opieką jednego z Członków Zarządu tutejszego Tow. Myśliwskiego, pana W. Mimo usilne zabiegi i starania nie dało się biednego stworzenia utrzymać przy życiu. Koziołek z powodu doznanych silnych wewnętrznych obrażeń, mimo troskliwej opieki swego czasowego opiekuna, na drugi dzień zdechł.

Tyle co do samego faktu, a teraz garść refleksy! Skąd mogło się zabłąkać w tak gęsto zaludnionem miejscu zwierzę skądinąd bardzo ostrożne i płoche?

Godną wielkiego potępienia jest napaść na biednego koziołka całej zgrai mało kulturalnych robotników, którzy w podobnie barbarzyński sposób zgładzili ze świata niewinne, a tak sympatyczne, stworzenie.

S. O.

O ochronę ptaków.

W „Kurjerze Czerwonym" znajdujemy następujący list, który zasługuje na uwagę:

„Głupia strzelanina z flowerów wybija ptactwo na letniskach.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam na myśli nieszczęsne pliszki, sikorki, szczygły i inne ptaszęta bez miłosierdzia tępione na letniskach przez naszą młodzież.

Rok rocznie ojcowie, wzruszeni do łez celującymi stopniami na cenzurach, obdarzają swych synków flowerami i fuzyjkami i rok rocznie synkowie przez cały czas wakacji zabawiają się tępieniem ptactwa — to też nigdzie niema tak cichych, martwych lasów i zagajów, jak u nas. Kiedyż to się skończy? Kiedy nakoniec młodzież zrozumie, że zabijając ptaka w czasie lęgu, jednocześnie skazuje kilkoro piskląt w gnieździe na śmierć głodową i że mordowanie niewinnych stworzeń to nie bohaterstwo, a niegodziwość i brak serca.

A. Szczawiński.

2 ofiary postrzelonego nosorożca.

„Rozwój" podaje szczegóły tragedji znanej podróżniczki irlandzkiej oraz zapalonej myśliwej, pani Green według wiadomości nadeszłych do Paryża z Centralnej Afryki.

Podróżując po Afryce ostatniemi czasy po dłuższej bytności w Belgijskiem Kongo, postanowiła pani Green stamtąd poprzez Centralną Afrykę dotrzeć do gór Kenya.

Ostatnio po dłuższej marszrucie znajdowała się niemal u kresu swej podróży na kilkudniowym odpoczynku w Nairobi (posiadłości angielskie). Podczas tego odpoczynku przygotowywała się do wyprawy w góry Kenya, których pasmo było od Nairobi niezbyt oddalone.

W dniu 10 marca wczesnym rankiem kiedy wszystkie przygotowania do drogi były już poczynione, udała się w drogę, w towarzystwie kilku tubylców. W godzinach popołudniowych kiedy wyprawa znalazła się u podnóża gór Kenya, około jednego z pagórków, z gęstwiny oddalonej o kilkadziesiąt kroków, wyskoczył olbrzymi nosorożec.

Tubylcy w panicznym strachu rozbiegli się na wszystkie strony. W tym momencie pani Green posiadała w ręku małego kalibru karabinek automatyczny.

Nie zastanawiając się ani chwili, poczęła z niego strzelać do zbliżającego się nosorożca. Osiem kul ugodziło w niego, lecz żadna z nich nie była w stanie zranić go śmiertelnie. Oszalały z bólu nosorożec dopadł panią Green, przewrócił na ziemię i zmiażdżył ją formalnie, poczem rzucił się naprzód, niszcząc wszystko na swej drodze.

W ten sposób dotarł aż na drogę wiodącą do Nairobi i spotkał na niej automobil, którym pewien angielski kapitan stacjonowany w Nairobi, udał się na wycieczkę wraz z żoną. Ponieważ auto z powodu kamienistej drogi poruszało się bardzo wolno, nosorożec niebawem dognał je.

Spostrzegłszy grożące niebezpieczeństwo, aby ratować życie swej małżonki, kapitan momentalnie wyskoczył z samochodu, i z rewolwerem w ręku, zagrodził drogę rozszalałemu zwierzęciu. Zanim jednak zdążył dwa razy wystrzelić, nosorożec dopadł go i przebiwszy, rzucił na ziemię. Trup kapitana za chwilę przedstawiał tylko jedną bezkształtną masę.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Tow. Bursy Gimn. we Wrześni. W „Łowcu Polskim" drukujemy jedynie rzeczy mające związek z łowiectwem.

WP. Jerzy Szellgowski. Na życzenie Pańskie zaznaczamy, że nagrodzony pies Pański „Ali" nie jest suką.

WP. Winc. Gurowski. Oberlaender podobno jest wyczerpany. Gdzie można go nabyć, nie wiemy.

OD REDAKCJI.

Prosimy uprzejmie W. Panów, którzy przysyłając przekaz pieniężny, piszą w tej sprawie na odwrotnej stronie tegoż, — aby do korespondencji tej posługiwali się jedynie wąskim odcinkiem, specjalnie na to przeznaczonym. Poczta bowiem wręcza tylko ten odcinek, wskutek czego połowa treści takiego pisania nas nie dochodzi, bo pozostaje w aktach urzędu pocztowego.

W SPRAWIE WYSTAW PSÓW.

Miejski wydział zdrowia zwrócił się do komisarjatu rządu z prośbą, by w przyszłości przed udzielaniem pozwoleń na urządzanie wystaw zwierząt zasięgano opinji miejskich organów sanitarnych co do bezpieczeństwa publiczności i odpowiednich urządzeń wystawy. Wystąpienie to pozostaje w związku z wypadkiem pokąsania p. H. Plewińskiej na wystawie psów. Inspektor urzędu weterynaryjnego zarządził obserwację tego psa.

Drobiazgi Myśliwskie.

Biały nosorożec. Z Mubendi, w Ugandzie, donoszą do londyńskiego „Timesa", że panna de Wateville, córka wybitnego przyrodnika i myśliwego rozszarpanego przed kilku miesiącami przez lwa na pograniczu Ugandy i Konga, upolowała piękny okaz białego nosorożca, którego ojciec jej poszukiwał dla muzeum w Bernie (Szwajcarja). Panna de Wateville postanowiła nie przerywać, pomimo tragicznej śmierci ojca, poszukiwań wszczętych przez niego i sama jedna pozostała w puszczy, choć była wówczas ciężko chora. Obecnie wytrwałość jej uwieńczył skutek pomyślny. Rzadki okaz nosorożca upolowany był przez nią nad odnogą Nilu Bahr-el-Dżebel, w miejscowości zwanej Rhino-Camp.

Kłusownicy w Pirenejach. Jak donoszą do dzienników paryskich, kłusownicy polujący na kozice w Pirenejach wschodnich, użyli barbarzyńskiego sposobu tępienia tych pięknych i rzadkich już stworzeń górskich. Oto ustawili na szczycie Lanoux kartaczownicę i otworzyli z niej ogień na stadko kozic, które ukazało się na zboczach przeciwległych, zabijając w ten sposób pięć kozic. Świst kul, lecących gradem z kartaczownicy, tak przeraził stada bydła, pasące się spokojnie na zboczach, że rozbiegły się na wszystkie strony, pasterze zaś musieli szukać ukrycia za skałami!

Przygoda myśliwska ks. Yorku. Drugi syn króla angielskiego, ks. Yorku, przybył w grudniu r. z., w charakterze przedstawiciela króla, do angielskiej Afryki wschodniej. Urzędowe jednak odwiedziny terytorjum Kenji przeplatane są też polowaniami na grubego zwierza, tak bowiem młody książę, jak i jego małżonka, uprawiają z zamiłowaniem sport myśliwski. Jak donoszą z Nairobi, książę, stanąwszy obozem w miejscowości Isiola, wybrał się, w towarzystwie jednego z najlepszych strzelców terytorjum Kenji, Andersona, na polowanie na nosorożce. Napróżno jednak myśliwi szli przez cały dzień tropem ogromnych zwierząt. Żadnego spostrzec nie zdołali. Pod wieczór więc zabrali się do powrotu, gdy nagle książę, idący przodem, ujrzał przed sobą, w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków, wspaniałego nosorożca i strzelił. Kula wszakże raniła tylko zwierza. Rozjątrzony bólem nosorożec rzucił się całym pędem na myśliwego. Ale książę nie stracił zimnej krwi. Dopuścił potwora na trzydzieści kroków i strzelił powtórnie. Jednocześnie strzelił też Anderson i nosorożec padł trupem, dotykając niemal łbem, uzbrojonym w straszny róg, stóp młodego księcia.

Kanadyjskie futra. Ośrodkiem handlu futrami w Kanadzie jest miasto Saskatchewan, w prowincji tej samej nazwy. W mieście tem gromadzone są futra ze zwierząt bądź to upolowanych, bądź też wyhodowanych na farmach, zajmujących się wyłącznie hodowlą zwierząt, dających cenne futra. W 1923 r. na targach w Saskatchewan sprzedano 1,462,288 szt. futer wartości 2,242,835 dolarów. Z ogromnej tej ilości futer przeszło połowa, wartości 1,623,440 dolarów przypada na szczury piżmowe. Futra kojot (małe wilki stepowe) przyniosły 124,900 dolarów, a tak rzadkich dziś bobrów — 99,261 dolarów. Reszta przypada głównie na futra lisie.

Redaktor: Jan Sztolcman. Wydawca: Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Drukarnia Nakładowa, Hortensja 7, Telefon 216-60, 50-96